

Paweł PRZYWARA

## FRUTTI DI MARE

*pamięci Tadeusza Przywary*

*Zobaczę ten świat, którego nie zobaczy. Tato powie: zadzwoń w poniedziałek albo we wtorek, kiedy już załatwię formalności. Powiem: zadzwonię i w poniedziałek, i we wtorek. Tato upewni się: jak się z nim widziałeś, nic nie mówił.*

Stoję na brzegu, na którym raz po raz osadza się łza mojego dziadka. Zarzucam sieć na wszystkie bruzdy jego twarzy i zbieram powleczone kryształkami soli wspomnienia. Każde jest owocem innej chwili. Trzymam dłoń pomarszczoną i drżącą, suchą i słabą, wiotką gałązkę na fali oddechu. Podaję kompot rabarbarowy, chłodny. Tonie w ustach dziadka, kropla do kropli. Przez okno domy, przechodnie, dzieci, nieruchome w upale trawy. Nie mówi, już nic nie może powiedzieć. Nawet się nie uśmiecha. W jego oczach powierzchnia słonej wody. Ale nie chce spać. Jestem, jestem, mówię, gdy spogląda na mnie. Jestem. Nie wiem, po czym wiem: ostatnie spotkanie. Po krzykach mężczyzny siedzącego obok na brzegu i jęczącego do mnie coś, czego nie rozumiem? Po tym, jak się obracam w stronę korytarza i mówię: zaraz przyjdzie do pana pielęgniarka?

Widzę, jak maluje w parku. Widzę, jak poprawia mnie, ucząc szkicowania profilu. Widzę, jak na wystawie wpisują się do księgi pamiątkowej, jak dostaje kwiaty, jak idzie o lasce zmęczony, rozgoryczony. Jak przyjeżdżamy na imieniny i kroi tort. Jak narzeka, że go wszystko boli. Jak daje mi pieniądze, mówiąc: we mnie masz zawsze przyjaciela. Widzę, jak uczy się chodzić po wypadku. Widzę, jak nie umie chodzić. Widzę, jak zsuwają się drobinki kroplówki. Widzę, jak słucha, że mówią wokół. Widzę na brzegu człowieka kręcącego gałkami radia. Widzę opalającego się młodego mężczyznę bez nogi. Widzę rozmowy na ławce. Widzę, plaża nie ma końca: wciąż ktoś. Widzę, jak tato karmi dziadka i go goli na środku. Widzę mewy poniżej chmur, mewy uspokajających słów. Widzę, jak mama łagodnie opowiada, siedząc na brzegu w wiklinowym koszu, co się wydarzyło, jak nam się wiedzie.

Widzę, jak trzyma trzęsącą się laurkę od wnuczki. Widzę, jak uczy się pisać i rysować po wypadku. Widzę, nie potrafi. Widzę, jak nie może wyłowić z morza tego, co było. Widzę kryształki soli w zagłębieniach jego dłoni. Widzę, jak ciężko jest oddać wygląd dłoni, kiedy jestem dzieckiem. Widzę, jak ten wygląd jest wyraźny w spojrzeniu, a sfalowany i rozplywający się po przyłożeniu

kredki. Widzę, jak napotkawszy ołówek i chleb, moja dłoń chleb wybiera. Widzę, jak dziadek pije kakao i w kuchni na brzegu stołu pokazuje mi listy od synów. Widzę, skarży się na omyłkowe telefony nad ranem do lokomotywowni, na ciasnotę butów, na ceny. Widzę, chce naprawić wszystko po wypadku. Widzę, pragnie coś powiedzieć, lecz się krztusi i kaszle. Widzę, jak tato mówi do mnie: lepiej, żeby mała tego nie widziała, niech zostanie tutaj.

Widzę, jak mówię: jeszcze jutro przyjdę rano przed wyjazdem. Widzę, jak będzie wtedy spał, a kobieta w fartuchu posprząta korytarz. Widzę, jak go nie obudzę, żeby dalej odpoczywał. Widzę, jakie będzie jego mieszkanie: sztalugi, blejtramy, tubki, paleta ulubiona, pędzle, portrety, pejzaże, martwe natury, ordery. Widzę, kiedy stryjek Krzysiek będzie wioził pociągiem dla niego moździerz odkopany w lesie. Widzę, jak będą mi się podobać w dzieciństwie niemieckie chełmy i lornetka. Widzę, jak będę się przyglądał posągowi kobiety w przedpokoju. Widzę, jak będę przynosił dziadkowi wodę ze studni, bo lepsza niż z kranu, i trzepał przed świętami dywany. Widzę, jak będę palcami gładził fakturę na płótnie. Widzę, jak dziadek umieści kawałek skały w obrazie ze wzbijającymi się wronami. Widzę, jak namaluje Chrystusa idącego przez pole pszenicy z krzyżem.

Widzę, będę się użalał rodzicom: mówi już tylko o swoich chorobach. Widzę, tato powie: czy ja też taki na starość będę. Widzę, mama powie: uważaj, żeby między tobą a ojcem nie było tak samo, jak między nimi. Widzę, dziadek powie na osiemdziesiąte któreś urodziny: Cyganka wywróżyła mi 95, tylko nie wiadomo, rok życia czy kalendarzowy. Widzę, powiedzą: życia, nie kalendarzowy. Widzę, ucieszy się naszym przyjazdem ubiegłej zimy, w Wigilię.

Zobaczę ten świt, którego nie zobaczy. Tato powie: zadzwoń w poniedziałek albo we wtorek, kiedy już załatwię formalności. Powiem: zadzwonię i w poniedziałek, i we wtorek. Tato upewni się: jak się z nim widziałeś, nic nie mówił. Odpowiem, nie. Po niedzieli będzie duszno, wieczorem burza i nieczynny telefon na wsi. Będę boso na mokrym i chłodnym piasku. Pochyłę się i wydobędę kremowobiałą muszlę o poszumie snu. Zatrzymam.

Stoję na brzegu policzka, na którym raz po raz osadza się łza mojego dziadka.

Gdy odchodzę, odchodzi na zawsze.